

## Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

## Po prostu dobry człowiek

*Mój kuzyn Feliks Dębowski, emerytowany nauczyciel z Łasku, zwrócił się do mnie w ubiegłym roku z prośbą o napisanie kilku słów wspomnień o Przemysławie Markiewiczu – moim nauczycielem języka angielskiego w Liceum Ogólnokształcącym w Żelowie. Powiedział, że tekst będzie wykorzystany w publikacji poświęconej zmarłemu nauczycielowi żelowskich i łaskich szkół... Bo profesor Markiewicz zmarł 6 listopada ubiegłego roku. Jakże miałbym się nie zgodzić...*

### Andrzej Dębowski

Listopad to miesiąc zadumy nie tylko nad upływającym czasem, lecz przede wszystkim nad mijaniem życia. Kolorowe znicze świecące tysiącami na cmentarzach odwiedzanych przez rodziny spoczywających tam zmarłych przypominają, że nieodłączną częścią życia jest jego upływanie i ciągła zmiana pokoleń.

Wspomnienia to dziwna rzecz. Czasami są całkiem realne, ale bywa, że stają się tym, czym chcemy, żeby były. Często przypominają nam, że szczęście jednak istnieje. To jedne z najpiękniejszych niematerialnych rzeczy, jakie możemy posiadać. Dzięki nim miłe i wyjątkowe chwile zostają z nami na zawsze i w każdym momencie możemy do nich wracać.

A jakie życie we wspomnieniach nazwiemy dobrym? Chyba takie, które jak porządny tekst – ma początek, środek i koniec. Takie, które wypełnione jest treścią. Szacunkiem dla człowieka, sumiennej pracy,

znajdowaniem czasu dla wszystkich. Pielęgnowaniem relacji, nieustanną troską o to, by jutro było lepsze niż dziś. Właśnie takiego zapamiętałem Przemysława Markiewicza, mojego nauczyciela-profesora języka angielskiego w Liceum Ogólnokształcącym w Żelowie.

Los zetknął mnie z nim w 1976 roku, kiedy jako świeżo upieczony absolwent szkoły podstawowej postanowiłem dalszą edukację kontynuować w żelowskiej „alma mater”. To był duży przeskok edukacyjny i towarzyski. Nowe przedmioty, nowi nauczyciele, nowi koledzy.

Takim novum był właśnie język angielski. W tamtych czasach nauczanie języka zachodniego zaczynało się w szkole średniej, więc moje oczekiwania były duże. Profesor Markiewicz należał do tej grupy nauczycieli żelowskiego liceum, których po prostu lubiło się. Cichy, skryty, niezwykle delikatny, z dużymi oprawkami okularów na nosie, jakby chciał się za nimi ukryć. Do dzisiaj pamiętam ten jego szaro-matowy, ale jakże ciepły głos. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zdenerwował się na kogoś, chociaż muszę przyznać, że niektórzy koledzy nie zachowywali się zbyt poprawnie. Pamiętam także, jak jeden z kolegów podczas lekcji ciągle jadł. Zauważył to profesor Markiewicz, podszedł do niego i z twarzą niemal mimiczną rzekł:

– Tomku, mógłbyś chociaż podzielić się ze mną. Przyjechałem dzisiaj bez śniadania...

Tutaj nastąpiła dość długa przerwa, po której nasz angilista odwrócił się, podszedł wolnym krokiem do swojego biurka i patrząc przez okno wychodzące na południową stronę świata, głęboko westchnął i wyszeptał coś pod nosem...

Cieszył się dużym szacunkiem wśród młodzieży. Na jego lekcjach nikt nigdy nie hałasował, nie gadał, nie przerywał mu. Nie żęby wymagał, po prostu swoim zachowaniem, takim spokojnym, dystygowanym, powodował, że nie należało po prostu inaczej postępować.

Zawsze miał dla każdego czas, lubił odpowiadać na najróżniejsze pytania, najczęściej związane z językiem angielskim. Sam wielokrotnie pytałem go, jak należy wymawiać nazwy różnych zespołów, głównie rockowych, którymi bardzo się interesowałem. Wtedy mocniej otwierały mu się oczy, jakby błyszczały inaczej, jakoś tak radośniej.

Jednak najbardziej utkwiła mi w pamięci sytuacja, która miała miejsce na jednej z lekcji. Był październik 1978 roku. Profesor Markiewicz wszedł do klasy, podszedł do biurka, położył dziennik i odczytał listę obecności. Dziennik odłożył powoli na bok i zastygł w milczeniu. Po krótkiej chwili wyciągnął z szuflady mały krzyżyk, osadzony w jakiejś podstawie, a obok krzyżyka, była maleńka, biało-czerwona flaga. Do końca lekcji nic nie mówił, my siedzieliśmy w absolutnej ciszy, zastanawiając się, co też musiało się stać. Kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę, nikt nawet nie drgnął. Po chwili profesor wstał i rzekł do nas:

– Kochani, Polak, kardynał Karol Wojtyła został papieżem...

I wtedy zauważyliśmy, że wielkie jak grochy łzy wypłynęły spod tych jego dużych okularów i płynęły po jego twarzy... To było jedno z tych wydarzeń w mojej czteroletniej, licealnej edukacji, które pamiętam z taką dokładnością do dzisiaj...

Po ukończeniu liceum już nigdy nie widziałem się ze swoim nauczycielem angielskiego. Wiedziałem, że uczył w Łasku, ale nigdy nie było okazji, żeby się spotkać, porozmawiać. Niedawno dowiedziałem się, że miał wielką pasję – była nią poezja. Dostałem kilka jego utworów, wyrażających różne emocje i refleksje. Ale wszystkie łączy jedna rzecz – miłość do słowa i wiara, że przecież może być pięknie na świecie. Musimy tylko to piękno w sobie odkryć i je pielęgnować.

Oto jeden z wierszy, który jest jakby kwintesencją charakteru i osobowości autora:

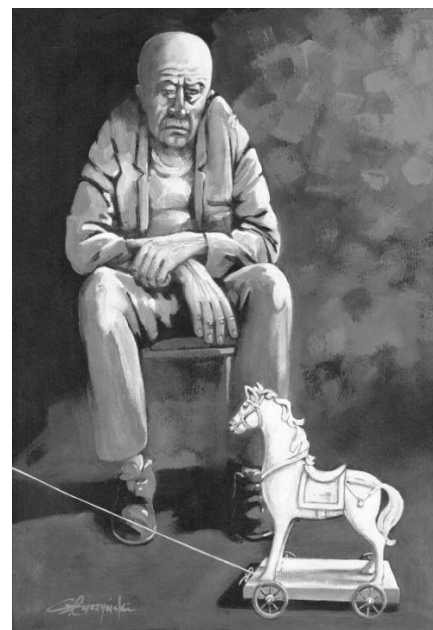
*Tyle słów zbyt długo milczałem Teraz  
atramentowy krzyk Lament Rapsody  
Wyrywanie piór A serce kuleje z tyłu  
Niebo oschodzi w jesień Grzyby  
pomarły Grzybice kwitną Krzyżę  
W papier Placzę atramentem  
Ubieram w słowa prawdę*

*zbyt naga*

Dobre wspomnienia są jak klejnoty. Nie ma dwóch identycznych. Człowiek zbiera je... Jedne wyrzuca, inne zachowuje, aż pewnego dnia, obejrawszy się za siebie, dostrzeże, iż utworzył długą, wielobarwną mozaikę.

Wiele osób uważa, że zmarli nigdy tak naprawdę od nas nie odchodzą. To między innymi nasze wspomnienia o nich sprawiają, że zostają z nami na zawsze. Są w naszym sercu i w naszej pamięci.

Dobre wspomnienia ogrzewają człowieka od środka. Te o profesorze Przemysławie Markiewiczu grzeją szczególnie mocno...



Rys. Sławomir Łuczyski